

Chińskie więzienia nie mają ścian – 10

27 lipca 2009

Czytając przewodnik po Pekinie prędzej czy później napotka się słowo hutong, pochodzące z mongolskiego hottong, oznaczającego studnię. Hutong jest niczym innym, niż wąską uliczką (czasem bardzo wąską), niegdyś zapewne usytuowaną w pobliżu studni. Uliczki takie można zobaczyć w wielu chińskich miastach, jednak najbardziej znane są te w Pekinie, a raczej to, co z nich zostało po modernizacji miasta. Pekin został utkany z wielu hutongów, które – rozrastając się – w końcu stopiły się w jedną wielką sieć uliczek. To, co odróżnia hutongi od ciasnych uliczek, jakie widziałam w innych miastach, to kamienne bębny, umieszczane przed wejściami do domostw. Pekin był właściwie pierwszym miejscem, w którym je zobaczyłam. Lwy wydają się być o wiele bardziej zaufanymi strażnikami.

* * *

Było słonecznie i „przyjemnie gorąco”, co sprawiało, że kiedy tylko znalazłyśmy się w Pałacu Letnim, zachciało się nam zostać tam na cały dzień. Nie był to znany nam lepki upał, który wygania człowieka do klimatyzowanych pomieszczeń. Dzień przypominał dobre europejskie lato, całkiem nieźle jak na wrzesień. Miałyśmy przed sobą ogromne jezioro, otoczone zielonymi wzgórzami, zieleń tych dalszych przechodziła w błękit. Patrząc na nowoczesne, wyrastające wcałych Chinach budynki, chciałoby się złapać architektów za kołnierz i zamknąć w miejscu takim jak to, by przypomnieli sobie, na czym polega budowanie w harmonii z naturą. Historia tego terenu przypominała historię wielu starych parków chińskich – z terenu użytkowanego głównie jako źródło wody dla Pekinu, został on w XVIII wieku przekształcony w prezent urodzinowy dla matki cesarza, Qian Long. Dla niej zbudowano Świątynię Wdzięczności i Długowieczności i otoczono jezioro ogrodami.

Obecny Pałac Letni również był prezentem, choć tym razem nie był to podarunek, powodowany konfucjańskim szacunkiem dla rodziców, a chęcią wkupienia się w łaski cesarzowej Cixi.

Pałac powstał ze środków, przeznaczonych na budowę floty wojennej, zdefraudowanych przez szwagra cesarzowej, zresztą dowódcę tej marynarki. Budowa Pałacu i ogrodów zajęła dziesięć lat. Prezent się spodobał, jednak – jak należało się spodziewać – Chinom przyszło za ten prezent zapłacić na morzu podczas wojny chińsko-japońskiej w 1895. Cesarzowa nazwała swoją nową posiadłość Yi He Yuan, Ogród Pokoju i Harmonii i szybko stał się on symbolem dekadencji za sprawą rozrzutności jego jedynej właścicielki.

Yi He Yuan został wpisany w 1998 roku na wiadomą listę UNESCO i jest jednym z tych miejsc, w których szeroko otwiera się oczy i usta, przez pierwsze dwadzieścia minut chłonąc krajobraz, budynki, ogromną przestrzeń 290 hektarów- z jakiej korzystała tylko jedna osoba. Marmurowa łódź wprawia w osłupienie, bo wydaje się być najbardziej absurdalnym cesarskim pomysłem na wyrzucenie pieniędzy w błoto. No, może nie całkiem, bo w końcu to ona przyciągnęła mnie do Pałacu Letniego.

Widziałam kiedyś program telewizyjny o Chinach, gdzie angielski prezenter stał w zaniedbanej kamiennej łodzi na tle zachmurzonego nieba. Pomyślałam wtedy, iż to musi być jedno z tych miejsc, do których ludzie przyjeżdżają, żeby obfotografować jedną atrakcję i szybko uciekają, żeby nie nasiąknąć depresyjną atmosferą otoczenia. Jednak sam pomysł zbudowania łodzi, jaka z założenia nie miała nigdy pływać, był intrygujący. Kiedy ją zobaczyłam, odrestaurowaną, z uzupełnionymi witrażami, gdzie dopatrzyć się można było nawet buddyjskich swastyk, wydała mi się ona całkiem przyjemna dla oka i zapomniałam o absurdalnym pomysle, jaki powołał ją do istnienia.

* * *

Dworzec w Xi'an był normalnym chińskim koszmarem, z setkami ludzi pchających się i deptających sobie po stopach, bo przecież kolejka to głupi zachodni wynalazek. Kiedy się w końcu wydostałyśmy na zewnątrz, napadli nas taksówkarze i żebracy, ustawili się w procesję i szli za nami dobry kawałek, zanim z zaciśniętymi zębami znalazłyśmy wyjście na ulicę pośród labiryntu przedziwnie ustawionych ogrodzeń i taksówek.

Budynkami, które każdemu kojarzą się z Xi'an – są Wieża Bębnow oraz Dzwonnica. Każde starożytne miasto w Chinach ma Wieżę Bębnow, jaka kiedyś spełniała funkcję podobną, jak krakowski hejnał – używano jej do odmierzania czasu i bicia na alarm. Również Pekin posiada Wieżę Bębnow i stojącą tuż naprzeciw niej Dzwonnicę. Wieżę wykorzystywano od czasów dynastii Yuan (1271-1368), lecz ta w Xi'an została wzniesiona w dynastii Ming, czyli pod koniec XIV wieku. Kiedyś, stojąc na szczycie Wieży Bębnow w Pekinie można było chyba zobaczyć płataninę zatłoczonych uliczek, wypełnionych nieustannym ruchem, powietrze było zapewne na tyle przejrzyste, by móc zobaczyć ciemnożółte dachy Zakazanego Miasta, a ludzie w dole czekali na bicie w bębny i według nich regulowali swoje codzienne czynności. Dzisiaj widać smog i bloki, a Wieża nie jest już od dawna najwyższym budynkiem w okolicy. Może należy się cieszyć, że w ogóle jest, bo wiele innych wiekowych budynków nie zdołało przetrwać Rewolucji Kulturalnej i innych burz historycznych.

Jeśli zapytać się Chińczyka, które miasto było najważniejsze w historii Chin, w odpowiedzi usłyszysz się: Xi'an. Komuś, kto nie zna historii Chin, pewnie wyda się to dziwne – dlaczego nie Pekin, gdzie jest Zakazane Miasto? Prowincja Shaanxi, w której znajduje się Xi'an, mieściła przez 11 wieków stolicę Chin (w wypadku Chin należałoby powiedzieć: siedziby dynastii). W tym trudnym do wyobrażenia sobie czasie królowało tam dwanaście dynastii. Shaanxi uważa się też za kolebkę narodu chińskiego: to tutaj w III w. p.n.e legendarny Żółty Cesarz (żółty jest w

Chinach, obok czerwonego, najważniejszym kolorem) miał podbić inne wojujące plemiona i dać początek narodowi chińskiemu. Dzięki swojemu położeniu na wschodnim krańcu Jedwabnego Szlaku oraz Szlaku Futer (na północ od gór Tianshan) Xi'an mógł stać się prawdziwie kosmopolitycznym i wysoko rozwiniętym miastem na dwieście lat przed założeniem Rzymu i pięćset lat wcześniej, nim Budda otrzymał oświecenie. Dla Europejczyka, widzącego korzenie swojej kultury w Rzymie i starożytnej Grecji, jest to zaskakująca nowina, zwłaszcza jeśli „przedrzymskie” cywilizacje postrzega jako nie wnoszące wiele do historii. Karawany przywoziły egzotyczne towary, mnisi i myśliciele buddyjscy czy wysłannicy muzułmańscy przynosili swoją filozofię. Wielbłądy, podążające na zachód dźwigały na grzbietach jedwab, herbatę, papier – a ludzie w swoich głowach nieśli słynne chińskie wynalazki, jakie wówczas w świecie zachodnim musiały wywoływać podziw i niepokój. Za czasów swojej świetności miasto, noszące swoją starą nazwę Chang'an, było podobno tak zachwycające, że Japończycy powielili jego architekturę, budując Kyoto i Nara. Niewątpliwie jest to kolejny powód, dla którego Japończycy uważani są przez Chińczyków za kulturowych złodziejasków.

Bliskość Środkowego Wschodu daje się tu odczuć na każdym kroku. Szliśmy, a właściwie przeciskałyśmy się przez targ, gdzie można było zobaczyć kobiety o twarzach szczelnie obramowanych chustami – jednak nigdy nie zasłoniętych – i mężczyzn, noszących białe, muzułmańskie czapki na czubkach głów, potomków kupców, przemierzających Szlak Futer, którzy kilkanaście wieków temu osiedlili się w Xi'an. Kupić można było wszelkiego rodzaju starocie, chińskie szachy, małe majiang, pozycje Kamasutry, wypalone na bambusowych deszczułkach, które można było dyskretnie złożyć i wsunąć do kieszeni, marionetki, latawce – no i oczywiście – miniaturowe figurki żołnierzy i koni Terakotowej Armii. Stoiska, zagnieżdżone głęboko we wnętrzach budynków, wychodziły kusząco na ulice. Wszędzie słychać było granie świerszczy, zawieszonych w małych klatkach tuż nad stoiskami. Miałam

wrażenie, iż świeższe stanowiły żywą przynętę dla przechodniów – zatrzymaj się choćby na moment, a będziesz musiał coś kupić. Dałyśmy się złapać kilka razy i biedniejsze o kilkadziesiąt juanów zdołałyśmy wydostać się z targu prosto w kamienne objęcia bramy Wielkiego Meczetu, jednego z największych w Chinach.

– Jesteś pewna, że to jest meczet? – Marie rozglądała się dookoła z powątpiewaniem, dobrze uzasadnionym, bo otaczały nas chińskie dachy i kamienne bębny. Meczet przypominał do złudzenia buddyjską świątynię, lecz tylko na pierwszy rzut oka. Arabskie litery złociły się na kolumnach, a wewnątrz budynków nie było żadnych figur. Nie było też wielkich kadzielnic, do których ludzie wrzucają monety. Zamiast nich – ogrody, pełne kwitnących krzewów i cisza. Było to miejsce, z którego nie chciało się powracać do hałaśliwego miasta. Przypomniałam sobie meczet w Hong Kongu. Mimo tego, że oba były kompletnie różne, panowała w nich podobna atmosfera jasnego, miękkiego spokoju. Jeśli buddyjskie świątynie w Chinach przypominają jaskrawe i radośnie hałaśliwe jarmarki, a kościoły katolickie – chłodne, onieśmielające jaskinie, to te dwa meczety były po prostu miejscami z daleka od wszystkiego, zdającymi się mówić: „To nie nam należy się cała twoja uwaga”.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: Vanda Zakrzewska

Źródło: [„Ulica Wszystkich Świętych” nr 5/2009](#)